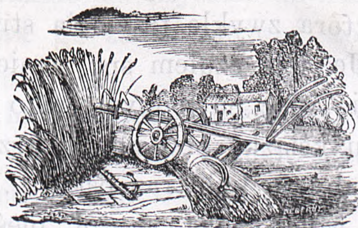
Tom I. 11. Stycznia 1870. Nr. 2.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pan majster Podkowa i jego uczeń.

W kuźni pana Wojciecha Podkowy, sławnego majstra kowalskiego w miasteczku Zarzeczu, czternastoletni, jasnowłosy chłopczyna stał przy piecu i dął w miech co sił starczyło. Opodal sam majster dzielnie kuł na kowadle, a huk młota rozlegał się daleko. Chociaż mocno zajęty swoją pracą, bo jakąś trudną a pilną wykonywał robotę, przecież od czasu do czasu spoglądał nieznacznie na ucznia i śledził co robi; chłopiec zaś, zapewne się tego nie domyślając, wydobył cichaczem z za cholewy książkę, rozłożył ją na boku i dalejże czytać ukradkiem. Snać bardzo rozmiłowany w czytaniu skoro książkę nieustannie nosi przy sobie i tak umie z każdej chwilki korzystać... o! gdyby to więcej było równie chętnych do książki robotników. Tym razem nie wiele biedak przeczytał, bo majster zoczywszy książkę, skoczył jak oparzony, wydarł mu ją i chciał w piec wrzucić. Chłopiec padł przed nim na kolana i złożył ręce jak do pacierza:

— Na miłość Boską, panie majstrze to książka...

— Ja ci tu dam książkę! krzyknął groźnie pan majster i zamierzył się na ucznia.

— W tej chwili, szczęśliwym trafem weszła do kuźni pani majstrowa, która zwykle trzymała stronę chłopca w podobnych razach. Jednem czułem spojrzeniem rozbroiła gniew męża, skończyło się więc na jednym tylko kułaku. Pan majster rzucił chłopcu książkę pod nogi i krzyknął:

— Pamiętaj aby to było raz ostatni... To skaranie boże z tym chłopcem, wołał bijąc w stół pięścią; poszlij go do miasta, on przez drogę zerka do książki, poszlij go do piwnicy, on książkę wyciąga z za cholewy i czyta; każ mu dzieci niańczyć, on jedną ręką dziecko, a drugą książkę trzyma. Jakto? i przy robocie tak samo?

Chwilę jeszcze swarzył w podobny sposób pan majster, póki sobie nie przypomniał, że ma dokończyć pilną robotę. Chłopiec szczęśliwy że książkę uratował, schował ją co żywo i zabrał się do miecha.

Wkrótce po wieczerzy majster i majstrowa układli się na spoczynek. W pierwszej izbie chłopiec zmówiwszy pacierz położył się także, ale nie spi, lecz od czasu do czasu podnosi głowę i słucha co się dzieje w drugiej izbie. Po chwili dało się słyszeć ztamtąd donośne chrapanie. Wówczas chłopiec zerwał się żwawo, potarł zapałkę, zapalił świeczkę, obstawił ją w koło aby światła nie było widać, i wyciągnąwszy książkę z pod siennika, zabrał się do czytania. O! snać wielką rozkosz sprawia mu to zajęcie; bo twarz dziwnie mu się rozjaśniła i czoło niezwykłą świeciło się pogodą; zdawał się zapominać o wszystkiej swojej biedzie, o świecie całym, zdawał się nic nie widzieć i nie słyszeć w około siebie.

Ale ta rozkosz jego znowu nie długo trwała. Majster zbudził się nad wszelkie spodziewanie, postrzegł światło i przyszedł cichaczem do pierwszej izby aby popatrzeć co chłopiec robi. Jaś tak był zatopiony w czytaniu, że dopiero wtedy postrzegł jego obecność, gdy uczuł potężny raz na plecach. Zerwał się prędko, chciał się uniewinnić, chciał prosić o przebaczenie, ale go nie słuchano. Majster srodze rozgniewany, nie szczędził pięści, przekleństw i złorzeczeń.

— Ależ to noc przecie, rzekła pani majstrowa; cóż ci to szkodzi że w nocy czyta, we dnie to nie mówię, bo powinien

pracować, ale zabraniać mu czytania w nocy, kiedy ci na nic nie potrzebny, i tak go za to katować, to niegodziwość, to tyraństwo.

— Ha, ha, ha! zaśmiał się szyderczo pan majster; to doskonale, to mi się podoba... w nocy niech czyta, aby we dnie spał, gdy trzeba robić. On ma czytać? patrzcie się jaki mi panicz! Cóż to? czytanie da mu chleb? Ha! czytać mu się zachciewa, żeby mógł kiedyś mędrca udawać i nad drugiemi przewodzić.., ale nic z tego; sprawię ja mu łaźnię gorącą że mu się odechce na zawsze czytania. I bił chłopca aż krew trysnęła.

Na widok krwi pani majstrowa skoczyła, wyrwała Jasia z rąk męża i zasłoniła go sobą. Ale i pan Podkowa widząc że się za nadto uniósł, opuścił ręce i odszedł. Litościwa kobieta umaczawszy ręcznik w zimnej wodzie obwiązała chłopcu zbite do krwi ramię i poleciła biedaka opiece Boskiej.

Jaś do rana jęczał z bolu. Nazajutrz nie mógł ruszyć ani ręką ani nogą. Za poradą więc pani majstrowej poszedł do szpitalu. Lekarz, człek znany z dobroci i miłosierdzia dla biednych, obejrzawszy go, wypytywał o przyczynę tak okropnego pobicia, ale Jaś poczciwy nic takiego nie powiedział co by jego majstra jako złego człowieka przedstawić mogło.

— A czy mogę czytać? zapytał chłopiec nieśmiało.

— Czytać? powie lekarz; ty chcesz czytać? To dziwne; już dziesięć lat jestem przy tym szpitalu, a jeszcze żaden chory nie spytał mi się czy może czytać. A masz książkę?

Jaś pokazał jakieś szpargały. Lekarz obejrzał i rzekł:

— Są to szczątki bardzo dobrej książki: czytaj moje dziecko, tylko nie natężaj się zbytecznie, a jutro przyniosę ci inną książkę.

Chłopiec pocałował go w rękę i zamyślił się: kto wie czy nie nad tem, że wyzdrowiawszy, wartoby się dać drugi raz wybić, aby się znowu dostać do szpitalu, gdzie nietylko nie bronią czytać, ale nawet książek dostarczają.

Tegoż dnia u pana majstra Podkowy była suta wieczerza choć to nie był ani dzień świąteczny ani niczyje imieniny. Szło

tu widać głównie o ugoszczenie starszyzny cechowej w jakimś celu, bo ją tylko na ucztę sproszono.

— I jakże to było z tym Jaśkiem niecnotą? cóż to on przeskrobał? zapytał przy wieczerzy Wojciecha Podkowy pan cechmistrz.

— O ten próżniak, ten ladaco... nie wspominajcie mi o nim, rzecze majster. Tylko czytanie mu w głowie, a do roboty ani daj Boże napędzić. Natarłem mu trochę uszu, i zaraz poszedł do szpitalu, szczęśliwy że się może wyleżeć nic nie robiąc. Ale cóżto? wy nie pijecie panie cechmistrzu?

— Dobrzeście zrobili, powie cechmistrz zalawszy gardło wybornym lipcem, bo to czytanie do niczego dobrego nie doprowadzi.

— Tyle tych książek teraz, nie wiedzieć na co i poco, wtrąci podcechmistrz wzruszając ramionami.

— Ot zabawka dla próżniaków; kiepskie czasy kumie, kiepskie czasy, powie pan Wojciech. My tak ciężko pracujemy, a ledwie wyżyć możemy — młodzież małorobi a dużo czyta; co to z tego będzie?

— Bieda będzie, potakiwał cechmistrz; pomarnują ojcowizny i zejdą na dziadów.

Tak mówili majstrowie i w prostocie ducha myśleli że mają słuszność. Nie wiedzieli oni że za polskich czasów w Zarzeczu były dwie drukarnie, że o dwie mile ztąd we wsi była drukarnia, nie wiedzieli ile to ksiąg z drukarni po miastach i wsiach utrzymywanych rozchodziło się niegdyś po całej Polsce a jednak, rzemieślnicy byli tak zamożni że jak mieszczan krakowskich, stać ich było na przyjmowanie i ugoszczenie królów w swoich domach.

Od tego wieczora nie było mowy o uczniu pana Podkowy tak zamiłowanym w czytaniu, nie wiedziano nawet gdzie się obraca, bo wyzdrowiawszy, opuścił miasteczko nie mówiąc nikomu dokąd się udaje.

Na kogo Pan Bóg, na tego i ludzie, mówi przysłowie, ale przeciw komu ludzie, tego Bóg bierze w opiekę. Sprawdza się to na miasteczkach naszych, które pomimo wszelkich trudności i uciążliwości, jakby cudem podnoszą się ciągle i wzbo-

gacają. Długie lata minęły od owych wypadków któreśmy wyżej opowiedzieli. W Zarzeczu jakiś przedsiębiorca założył fabrykę narzędzi rolniczych, w której prawie cała ludność męzka znalazła stałe zatrudnienie, co, równie jak liczne zjazdy i jarmarki, przyczyniło się wielce do podniesienia zamożności mieszkańców. Miasteczko zabudowało się na nowo i zmieniło nie do poznania. Dawni kowale, rówiennicy pana Podkowy wymarli, on zaś owdowiawszy i zestarzawszy się, zeszedł na biedę. W jego warsztacie huk młota coraz rzadszy i słabszy; biedny, znękany starzec ledwie nogami suwa. Widząc że sobie rady nie da, że chyba rękę wyciągać by trzeba, zajrzał do fabryki i miał ochotę prosić, aby go tam przyjęto, ale jakże się zdziwił, zobaczywszy że jego umiejętność na nic by się nie przydała, bo tam lada chłopiec tyle umie co i on, a pożyteczniejszy jest bo silniejszy od niego.

Przypatrując się z boku co się tam dzieje w fabryce, postrzegł że właściciel rozdaje robotnikom książki i gazety do czytania.

— Możeby warto z jednę taką książkę przeczytać, pomyślał sobie, możebym się jeszcze czego nauczył?

Pożyczył książkę i zaczął czytać, ale zaraz przy pierwszym wierszu przyszło mu na myśl: ciężko to na starość wielkiem orać, czego się Jaś nie nauczył, tego się Jan nie nauczy.

— Ej, może choć nieco wyrozumiem, rzekł znowu sam do siebie.

Sili się koniecznie, ale wzrok osłabiony czytać nie pozwala, i myśli się plączą, bo rozum do myślenia nie nawykły, nic objąć nie może. Przecież natęża się biedak; już krew mu uderza do głowy, zaczerwienił się, zmęczył, a jeszcze czyta.

Nie, niepodobna. Zakrył twarz rękoma i zapłakał. O Boże! gdyby mi się wróciły młode lata...

Odłożył książkę i nie zajrzał już do niej, bo niedługo rozchorował się z niedostatku i trosków i w ostatniej nędzy zakończył życie.

Wkrótce potem przełożonym fabryki w Zarzeczu został jakiś obcy mężczyzna w średnim wieku, który, chociaż wprost z Warszawy przybywał, zdawał się znać Zarzecze tak dobrze

akby się tu urodził. Czy tak było w istocie, nie mówił nikomu, ale gdy się zaczął wypytywać o rozmaite już nieżyjące osoby, zwłaszcza o ś. p. pana Wojciecha Podkowę, jego żonę i lekarza szpitalnego, świadomi dawnych dziejów miasteczka domyślili się, że był to dawny Jaś, terminator zmarłego pana Podkowy.

Stanisław Krakowczyk.

Moja piosnka.

Lepiéj mało, ale swoje;
Mam téż chatkę przecie moję,
Dwa koniki i dwa pługi
I ogrodu kawał długi.

Za ogrodem pole znowu,
Kilka krówek swego chowu,
Mam piéniądze uskładane
Na potrzeby dziś nie znane.

Mam szacunek, mir w gromadzie,
To téż członkiem jestem w Radzie,
A to pracą i zacnością,
A co mam, to oszczędnością.

Bo mój ojciec, świeć mu Panie.
Zanim przyszło nań skonanie,
Wyrzekł do mnie: Miły synu!
Hej do pracy i do czynu.

Pracuj tylko! świętą wiarę,
Obyczaje nasze stare
Ceń i szanuj jak potrzeba —
Nie braknie ci cnoty, chleba.

Ja też rady téj się trzymam,
Niedostatku, biedy nie mam,
Tom téż w chacie jest kochany
A i w gminie szanowany.

Nie wiem także co to długi;
Żem człek dobry — mówią sługi,
Bom też dla nich sprawiedliwy —
A nie pijak, jak Bóg żywy.

Mądrej rady słucham chętnie,
Trzymam w myśli ją pamiętnie;
Cenię ojców moich ziemię,
Kocham szczerze nasze plemię.

Nie zmieniłbym stron mych za nic,
Miłość dla nich mam bez granic —
Niech kto inny cudze chwali,
Dla mnie nie ma szczęścia w dali·

Milsze swoje, bo to drogie,
Choćby szczupłe i ubogie;
Milszy dom swój, choćby ciasny,
Milszy zagon, ale własny.

Tylko pracy, tylko zgody,
Z przekonania a nie z mody;
Wszystko pójdzie jakby z płatka —
Ale zgoda dzisiaj rzadka!

Hej pracujże miły ludu!
A oszczędzaj owoc trudu
I miéj zawsze w sercu Boga
A będzie twa dola błoga!

Józef z Bochni.

Zamek królewski na Wawelu.

Kto nie był w Krakowie, a poznać go nie pragnie, komu serce nie drga na wspomnienie Krakowa, ten nie jest Polakiem. O miasto drogie, stolico królów, kolebko świętych! niechaj twój obraz wiecznie się przed oczyma naszemi przesuwa, niechaj poważny głos twoich dzwonów wiecznie nam brzmi w uszach, niechaj pamięć o tobie i cześć dla ciebie nigdy nie gaśnie w sercach naszych.

Oto Wawel przed nami...

Na Wawel, na Wawel Krakowiaku żwawy
Podumaj potęsknij nad pomnikiem sławy..

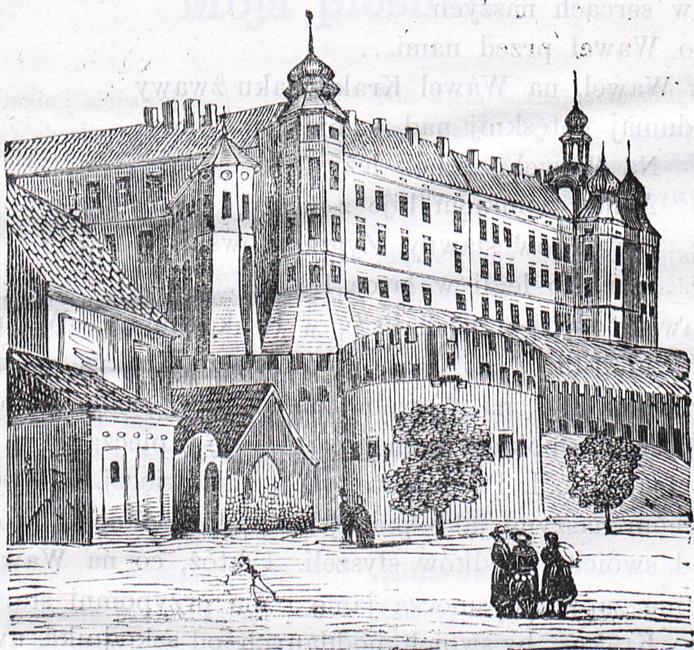
Na Wawelu zamek leży,
A nad zamkiem bije z wieży,
Dzwon ów sławny, Zygmuntowski,
Tym, co legli w łasce Boskiej....

Wawel to wzgórze skaliste, w Krakowie nad Wisłą. Podanie równie stare jak Kraków, mówi, że Krakus, co miasto Kraków założył, i na Wawelu zamek dla siebie zbudował, potem, potwora smokiem zwanego, który się w pieczarze ukrywał, podstępem zgładził. Podanie to tylko i nic więcej, ale podanie miłe sercom naszym, jako pamiątka po przodkach, którzy je także od swoich przodków słyszeli. I któż, co na Wawel popatrzy, nie zapyta o smoczą jamę i nie przypomni starej baśni, jakto Krakus, by swoich poddanych od szkodnika uwolnić, podrzucił mu barana wypchanego siarką i smołą które smokowi spaliły wnętrzności? Komuż oko łzą nie zajdzie na widok tych obszarpanych murów, co niegdyś królewskiem były mieszkaniem?

Jak długo stał zamek krakusowy, któż to wie. Drewniany był i pewnie spłonął nie długo. Ale późniejsi królowie polscy wznieśli tu pałac przepyszny, którego szczątki nie jednokrotnie przebudowane, po dziś dzień widzimy. Obok królewskiego pałacu stanął kościół najwspanialszy w całej Polsce, kędy w sklepach królowie nasi spoczywają snem wiecznym. A oprócz królewskiego pałacu i głównego kościoła były na Wawelu

i inne kościoły i domów co niemiara, że mieszkanie królewskie nie jak zamek, ale jak miasto wyglądało, a w około tego wszystkiego wił się mur potężny z wieżami, basztami i siedzibą królewską, skarby królewskie zasłaniał od nieprzyjaciół.

Odarte dzisiaj z wszelkiego przepychu mieszkanie królewskie, jaśniało za lepszych czasów wytwornością i bogactwy.



Komnat bez liku a w nich podłogi marmurowe, staroświeckie piece także z marmuru rzezanego w przecudne wzory i oddrzwia podobne. Na ścianach rozwieszone malowidła najcudniejsze a wszędzie sprzęty bogate ślicznie wyrzeźbione i kobierce złociste. Dziedziniec graniasty pięknie wybrukowany a w około po pod wszystkie piętra ganki kamienne wiszące na słupach. Z okien pałacu widok, jakiego szukać w świecie, bo całe miasto jak na dłoni; Wisła spodem szumi, bijąc o skały wawelskie a dalej uśmiechają się wioski wesołe a jeszcze dalej nikną w niebiosach sine szczyty gór karpackich. Najcudniejszy widok był z komnaty zwanej Kurzą nogą,

której okna ku wschodowi zwrócone, tam też królowie najczęściej przesiadywali, i tam jak mówią urosło przysłowie: „przybyło dnia na kurzą nogę.“

O święty przybytku, gdzie dni twojej wielkości i dostojności? Gdzie owe czasy, kiedy w tych komnatach przebywali wielcy oni Kazimierze i Zygmunci, otoczeni całym blaskiem majestatu, przedniejszymi pany i dworzany, kiedy tu w chwilach wytchnienia, w samotnem pogrążeni dumaniu, rozmyślali nad losami ojczyzny, albo wesołe wyprawiali uczty, goszcząc u siebie obcych monarchów? O... wiele wieków przetrwały mury królewskiego zamku na Wawelu i wiele pamiętają. Gdyby kamienie mówić mogły, usłyszelibyśmy od nich całe dzieje naszej ojczyzny, boć tutaj to stanowiono prawa, tu się królewskie odbywały sądy, tutaj stanowiono o wojnie i pokoju, tu zeszły dni naszych radości. Ach, ale też i goryczy i smutku nie mało spłynęło ztąd na Polskę całą, gdy nieprzyjaciel raz i drugi dotarł aż tutaj, rozwalił mury, w perzynę obrócił kosztowności i pamiątki a resztę zrabował i wywiózł.

Zamek królewski na Wawelu kilkakrotnie pogorzał, ale królowie polscy przyprowadzili go zawsze do dawnego stanu a nawet jeszcze wspanialszym i ozdobniejszym czynili po każdym pożarze. Dopiero gdy król Zygmunt III przeniósł stolicę z Krakowa do Warszawy, osierocony zamek wawelski przestał doznawać takiej jak dawniej opieki. Wprawdzie królowie łożyli zawsze na utrzymanie go w dobrym stanie, ale dni jego świetności już przeminęły. Spalony przez Szwedów, zrabowany przez Prusaków i przez Moskali po upadku Polski stał długo ruderą. Gdy wojny ucichły, rząd miasta Krakowa chciał uratować tę drogą pamiątkę od ostatecznej zagłady, ale nie było na to pieniędzy. Rozebrano więc dwa pomniejsze kościoły, domy i mury zwaleniem grożące, a tylko właściwe mieszkanie królewskie jako tako naprawiono i obrócono je na cel miły Bogu, bo na mieszkanie dla ubogich starców i kalek. Tak było aż do roku 1846 w którym Kraków przeszedł pod panowanie austryackie i został przyłączony do Galicyi. Zamek królewski zabrano na koszary dla wojska, wystawiono kilka nowych gmachów, wzmocniono dawne baszty, i cały

Wawel zamieniono na fortecę. Nie wolno tam wejść, nie wolno podumać i potęsknić, chyba za pozwoleniem. Podczas tych przemian zbudowano także schody do smoczej jamy, która dotąd istnieje i piękną swoją foremnością jako rzadka osobliwość wzbudza podziwienie.

Kościół katedralny na Wawelu pozostał nietknięty, ale o tej świątyni, o grobowcach królów i wszystkich innych pamiątkach w niej się znajdujących, tudzież o dzwonie Zygmuncie, innym razem mówić będziemy.

....

Dziękuję ci aksamicie, kłaniają się Wadowicie.

Marcin Wadowitą zwany, ponieważ z Wadowic pochodził, syn chłopski, uciekł z zagrody ojcowskiej do Krakowa, aby się uczyć w tamtejszych szkołach Kraków był podówczas jedynem miastem w Polsce, a może i w świecie całym, które setkami młodzież ubogą, co się do nauk garnęła, żywiło i okrywało. Biedni ci chłopcy, z których wielu wyszło potem na wysokich dostojników, żyli w Krakowie z Opatrzności Boskiej i szczodrobliwości poczciwych mieszkańców. Zwano ich żakami, albo paupranii. Każdy nosił garnuszek u pasa i łyżkę w zanadrzu, a ile razy który z tym garnuszkiem przyszedł czy to do pańskiego pałacu, czy do domu mieszczanina, czy przed furtę klasztorną, mógł być pewnym, że nie odejdzie głodnym.

Po wielu latach pilnej nauki choć o żebranym chlebie, Marcin Wadowita został księdzem i proboszczem przy kościele św. Floryana w Krakowie na Kleparzu, a potem profesorem akademii i jej rektorem czyli przełożonym Inni profesorowie zapomnieć mu nie mogli, że się chłopem urodził i pogardliwem okiem poglądali na niego. Wiedział o tem dobrze Wadowita, gdy więc przywdział szatę rektora a profesorowie oddawali mu pokłony jako swemu przełożonemu, podniósł ręką koniec swojej aksamitnej szaty i rzekł:

— Dziękuję ci aksamicie, kłaniają się Wadowicie.

Słowa te jego weszły w przyszłowie, którego się używa ile razy widzimy ludzi nikczemnych, płaszczących się i nadskakujących drugim dla tego, ponieważ widzą na nich szaty bogate.

Marcin Wadowita szeroko zasłynął nauką, tak nawet, że Ojciec św. wzywał go do Rzymu i poruczał mu ważne sprawy. Śmiano się tam z jego wrzaskliwego głosu, śmiano się że gdy mówił, to rękami wywijał jakby chciał bić słuchacza, ale szanowano go wielce. Był też mężem bardzo cnotliwym i dobroczynnym. W swojem mieście rodzinnem uposażył szpital i szkołę, a umierając, zostawił na wsparcie dla biednych, jak sam był niegdyś, studentów, znaczne sumy. Ciało jego spoczywa w Krakowie w kościele św. Floriana przy którym był proboszczem, w magistracie zaś wadowickim można widzieć portret jego przechowywany tam z czcią należną. Zasłużył sobie na tę cześć i pamięć Marcin Wadowita, nietylko nauką wielką, nietylko cnotami w całem życiu wykonywanemi, ale oraz i tą chwalebną wytrwałością i gorliwością w naukach, jaką już w dzieciństwie okazywał. Za jego czasów było wielu podobnych do niego, ale dziś jakże mało młodzieńców, co by jak on o swoich siłach wysoko wyszli w świecie na pociechę rodziców swoich, na pożytek ojczyzny. Ale prawda i to, że teraz ludzie nie są już tak dobroczynni jak niegdyś, że nie wielu takich, coby pospieszyli z pomocą widząc biednego studenta garnącego się do świata i nauki. Inne czasy, inne obyczaje — dziś już żaden student nie chodziłby z garnuszkiem u pasa, ani by mu to przystało. Tak to wszystko zmienia się na świecie . . . tylko próżność ludzka, zawsze jednaka, bo i dziś jak za czasów Marcina Wadowity kłaniają się ludzie aksamitom i jedwabiom bardziej niż cnocie, nauce i zasłudze prawdziwej, a za nic mają tego, co w lichej szacie.

Dowcip popłaca.

Zadaniem jest człowieka, stać się pożytecznym dla drugich. Samotnik sam sobie nigdy nie wystarczy, zawsze potrze-

bować będzie obcej pomocy. To też wzajemnie powinniśmy się wspomagać. Lecz nietylko pracą rąk naszych, ale też i rozumem mamy służyć współbliźnim naszym. Dobra bowiem rada prostuje ścieżki nasze; jedno słowo w porę wyrzeczone częstokroć wielce uprzyjemnia życie nasze. Kto umie trafnie bez ubliżenia komukolwiek na pytanie odpowiedzieć, ten wielki skarb ukrywa w umyśle swoim, gdyż mnóstwo żyjących dowcipem utorowało sobie drogę do szczęścia i wziętości u ludzi.

Powiadają, że pewnemu panu snuły się po głowie różne zagadki, których sam sobie rozwiązać nie był w stanie. Zwołał wreszcie gromadę i powiada: Kto mi zgadnie, jak niebo wysoko, jak ziemia głęboko, gdzie jest środek ziemi, i co pan Bóg robi w niebie? temu dam parę wołów z mojej obory. W milczeniu rozeszła się gromada. Jaki taki myśli sobie: para wołów, nie zła to rzecz, ale jak tu odgadnąć tyle zadań? to sęk! Cicho tedy jak mak posiał zrobiło się po wszystkich zagrodach, — sielanie myśleć poczęli.

Niedaleko od dworu, była sadyba porządnego gospodarza, który do pomocy parobka zwinnego utrzymywał. Przyzwyczajony najmyt razem z gospodarzem pracować, postrzegł od razu wielką zmianę na nim i że domowej pracy jąć się nie chce. Śmiało tedy przystąpił do niego i zawołał: Gospodarzu! co się wam też stało, żeście tak posmutnieli, jak gdyby wam kto matkę zabił, a tak sumujecie jak gdybyście słońce w biegu powstrzymać chcieli? Na takie zagadnienie nie chciał gospodarz zrazu odpowiadać. Ale gdy Grzegorz nie ustępywał, jeno ciągle nań nalegał, tak rozwiązał się język gospodarzowi i powiada: Pan nasz obiecał dać parę wołów temu, kto odgadnie, jak niebo wysoko, jak ziemia głęboko, gdzie jest środek ziemi i co pan Bóg robi w niebie? Na całe gardło rozśmiał się Grzegorz. Ta że to furda! przebierzcie mię tylko za dziada i zaprowadźcie do pana, to ja wszystko zgadnę.

Uradowany gospodarz jak gdyby go kto na sto koni posadził, przebiera parobka za dziada i prowadzi do dworu. Zniecierpliwiony pan kazał wnet przypuścić do siebie tych dwóch ludzi, i zapytał gospodarza: czy ty odgadłeś moje zadania?

— Nie panie! powiada gospodarz, oto mam zastępcę, wskazując na dziadka, który odpowiadać będzie na pańskie zapytania.

— Co robi Pan Bóg w niebie? pyta pan dziadka.

— Niech no pan weźmie moje suknie na siebie i stanie przy drzwiach; a ja przybiorę pańskie i siądę na krześle, to ja panu powiem, co Pan Bóg robi w niebie.

Zrobił pan tak, jak dziadek kazał, a gdy stanął przy drzwiach, a dziadek siadł na krześle, znowu zapytał co pan Bóg robi w niebie?

— Czy pan niewidzisz, co pan Bóg zrobił? Z pana zrobił dziada, a z dziada zrobił pana.

Zastanowił się pan chwilkę i przyznał prawdę dziadkowi. Potem zapytał jak niebo wysoko?

— Nie bardzo wysoko, bo gdy tam strzelają, to u nas słychać.

Oddał słuszność pan dziadkowi i znowu zapytał: jak ziemia głęboko?

— O panie! ziemia bardzo głęboko, gdyż siedm lat minęło jak mój ojciec poszedł ziemię mierzyć, a jeszcze nie wrócił.

I na to przystawszy pan zapytał nareszcie gdzie jest środek ziemi?

Dziadek przeszedł się kilka razy po pokoju, a stanąwszy pośrodku, tupnął nogą: oto tu środek ziemi, a jeżeli pan nie wierzy, to niech pan zmierzy.

— Bratku! zawołał pan uszczęśliwiony, ty masz wielki rozum, ty zostaniesz przy mnie, nie puszczę się ciebie. Gospodarzowi dał parę wołów, a parobka ożenił z dworską panną i we wszystkiem słuchał jego rady.

O bractwach wstrzemięźliwości, tudzież o środkach przeciw pijaństwu w Szwecyi.

Wszyscy lekarze zgadzają się w tem że wódka, arak, inne podobne napoje nie są wcale potrzebne do utrzymania

zdrowia i życia ludzkiego, lecz owszem podkopują je i niszczą, a któż lepiej niż lekarze może o tem sądzić, co nam jest do zdrowia potrzebne? Ale i bez lekarzy wiedzą o tem nawet najwięksi przyjaciele wódki, że to wzmocnienie, które ona sprawia, jest tylko pozornem, bo wytrzeźwiwszy się, pijak uczuwa jeszcze większe osłabienie jak pierwej. Jakoż wódka nie zawiera w sobie nic takiego, coby mogło przydać sił pijącemu. Wódka, choćby z umiarkowaniem używana, zamienia powoli ludzi najporządniejszych w pijaków, prowadzi do rozlicznych chorób, trudnych do wyleczenia, lub nawet niedających się wyleczyć, prowadzi do ubóstwa i nędzy, przyspiesza śmierć, bywa powodem skażenia obyczajów, niezgody w rodzinie, rozlicznych grzechów i zbrodni. Przeciwnie, wstrzymanie się zupełne od wódki i innych podobnych napojów, przyczynia się do utrzymania zdrowia i przedłuża życie, chroni od grzechów, prowadzi do zamożności. Dla tego ludzie troskliwi o dobro swoich współbraci oddawna już wszelkiemi siłami pracują nad wykorzenieniem u nas pijaństwa. W tym celu wydano kilka książek pouczających, jak szkodliwem jest pijaństwo; ale ponieważ u nas bardzo wielu jeszcze ludzi nie umie czytać, inni zaś choć umieją, niebardzo lubią czytać, zwłaszcza jeżeli karczma im dużo czasu zabiera, dla tego książki te dotąd nie wydały zbawiennego owocu. O wiele pożyteczniejszemi okazały się bractwa wstrzemięźliwości, które czcigodni nasi kapłanie prawie przy wszystkich pozawiązywali kościołach. Śmiało rzec można, że ze wszystkich stowarzyszeń, jakich obecnie tyle zawiązuje się w kraju naszym, najważniejszemi i najpotrzebniejszemi są bractwa wstrzemięźliwości. Zrozumieli to ojcowie ludu swojej pieczy powierzonego i zawiązywali te bractwa już wtenczas, kiedy w kraju naszym jeszcze się nikomu nie śniło o stowarzyszeniach. Z bolem serca wyznać potrzeba że szlachetne, prawdziwie ojcowskie starania naszych pasterzów nie wszędzie pożądany odniosły skutek. Ale da im Bóg doczekać jeszcze tej pociechy, że ujrzą wykorzenione do szczętu pijaństwo, a ta pociecha starczy im pewnie za największą nagrodę, jaka by się im za trudy całego życia należała.

Bractwa wstrzemięźliwości w Niemczech są w gruncie rzeczy podobne do naszych, bo podobnie jak nasze dążą do zmniejszenia pijaństwa ale są inaczej urządzone. Oto wszyscy członkowie zobowiązują się i ślubują nietylko nie pić nigdy wódki, ponczu, rumu i araku nawet w herbacie, likierów, rosolisów i t. d. ale nawet takowych nie sprzedawać i sprzedaży ich nie ułatwiać. Ślubują że nietylko sami tych napojów nigdy pić nie będą ale i członkom swojej rodziny pić nie pozwolą, ani swoich gości, przyjaciół, sług i robotników nie będą nigdy częstować. Prócz tego ślubują, że każdy wedle sił swoich pracować będzie wszędzie i zawsze nad wykorzenieniem pijaństwa, w tym celu wszystkich znajomych od pijaństwa odwodzić; ślubują że i sami w używaniu wszelkich innych napojów, jakoto piwa, wina i t. p. będą umiarkowani i nigdy się nie upiją. Kto chce zostać członkiem bractwa, oznajmia to starszyznie, która orzeka czy go można przyjąć; a gdy ślub złoży, zapisują w księdze jego imię i nazwisko. Każdy członek płaci do wspólnej kasy mały datek, za co starszyzna zakupuje pożyteczne i budujące książki. Starszyzna składa się z czterech członków: przełożonego, jego zastępcy, pisarza i skarbnika. Skarbnik odbiera składki, oblicza dochody i wydatki bractwa, i corocznie składa rachunki. Starszyzna ma głównie obowiązek czuwania, aby każdy członek bractwa dopełniał wiernie swego ślubu; przestępnych napomina a jeźli to nie pomaga, wyklucza z bractwa i nazwiska ich ogłasza. Zresztą wszyscy członkowie obowiązani są czuwać jeden nad drugim, jeden drugiego napominać i zachęcać do wytrwałości, każdemu jednak wolno kiedy chce wystąpić. Wszyscy członkowie bractwa zgromadzają się co miesiąc na wspólną naradę. Nim się zacznie narada, spiewają pieśń pobożną i odmawiają wspólnie modlitwę. Na te zebrania wolno przyjść każdemu kto chce, choć jeszcze nie należy do bractwa; owszem tacy są chętnie widziani, bo często nie jeden się zbuduje i zapragnie aby go do tak zacnego grona przyjęto.

Nigdy może pijaństwo nie doszło do tak wysokiego stopnia jak w Szwecyi. Był tam pijakiem nie tylko chłop, ale i mieszczanin i szlachcic, nawet na dworze królewskim sta-

wiano na stole wódkę, arak, likiery. Ubóstwo, nędza, niemoralność, zbrodnie szerzyły się coraz bardziej. Po drogach spotykałeś wszędzie żebraków i pijaków. Zboże uprawiane w kraju nie wystarczało na wyżywienie mieszkańców, i musiano sprowadzać je z zagranicy. Wówczas ludzie ożywieni prawdziwą miłością ojczyzny a na ich czele królewicz, późniejszy król Oskar, zaczęli przemyśliwać nad wykorzenieniem pijaństwa. Długie lata mijały a usiłowania ich prawie żadnego nie wydawały owocu.

Cały kraj tak był nawykł do pijaństwa, że zawiązywanie bractw, rozszerzanie pożytecznych książek, na nic się nie przydało. Aż wreszcie król Oskar, postanowił nałożyć na wódkę niezmiernie wysoki podatek i wydał w tym celu ustawę. Oj! byłożto swarów i kłótni na sejmie gdy ta ustawa przyszła na obrady! Ale w końcu przecież król przemógł. Nałożono na gorzelnie taki podatek, że cena kwarty wódki wyszła na talara to jest blisko 2 Złr. Środek ten najlepszym się okazał.

Nie wiele lat minęło a Szwecya zmieniła się nie do poznania. Wszystkie małe gorzelnie upadły, a wielkie bardzo mało wódki wyrabiają. Zboża jest podostatkiem, bo go w gorzelniach nie niszczą na spirytus, żebraków i pijaków nie ma, a za to przybyło rąk do pracy; moralność zakwitła i zbrodnie stały się rzadsze. W miejsce gorzelni powstały browary które wyrabiają smaczne i tanie piwo. —

— *Od Redakcyi.* Wszystkich czytelników naszych którzy numer pierwszy „Dzwonka" po dwakroć otrzymali, prosimy uprzejmie aby jeden z tych numerów jako niepotrzebny doręczyli najbliższemu sąsiadowi.

— Czytelnikowi naszemu Józefowi L. zapytującemu dla czego *Grześ z Mogiły* nie pisuje teraz do „Dzwonka", odpowiadamy; że Grześ z Mogiły zajmuje teraz wysokie stanowisko i oddaje się ważnym pracom, nie ma więc natyle czasu aby mógł nam pomagać, ale znając jego troskliwość o oświatę spodziewamy się, że jeżeli znajdzie kiedy wolną chwilę, zechce ją poświęcić stęsknionym za nim czytelnikom.

— Otrzymany od początkującego kapłana 1 złr. jako dar dla Ojca św. wręczyliśmy redakcyi Unii.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.